Rok 1898. Lwów, dnia 18. kwietnia. Nr. 16.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

LUDWIK MANIAWSKI.

ROZMYŚLANIA LITERACKIE.

I.

O przeciążeniu umysłowem.

Lekarz paryski, dr. Maurycy Fleury powziął szczęśliwą myśl wyjaśnienia w formie popularnej badań i zdań znakomitych neuropatologów — głównie Charcota i jego uczniów — w kwestji terapeutyki duszy i wywiedzenia stąd rzec można, dostępnego dla ogółu morału medycznego. Praca jego nosi tytuł *Introduction à la médecine de l' ésprit.*

Między innemi autor określa tutaj stosunek medycyny nietylko do sprawiedliwości, ale i do sztuki i literatury. Czytelnik obznajamia się w tej pracy nietylko z najnowszemi objaśnieniami zjawisk w dziedzinie hypnotyzmu, telepatji, halucynacji, czarownictwa, cudów, nietylko z teorjami Lombrosa o stopniu odpowiedzialności przestępców, o pokrewieństwie genjusza z obłąkaniem, lecz także z rzadkimi objawami „medycyny umysłu“ — z hygjeną literatów, z leczeniem lenistwa, smutku, gniewu i... namiętności miłosnych. Najciekawszymi są ustępy, tyczące się badania znużenia i nerwowego wyczerpania, jak również analizy lenistwa.

Przyciążenie, znużenie umysłowe — to choroba najwięcej rozpowszechniona w dzisiejszem społeczeństwie, a szerząca się z widoczną szybkością. To jest *malum nacessarium* najnowszej, za szybko naprzód postępującej cywilizacji, gdy trzeba się tyle uczyć, wyrozumieć tyle nowych i różnorodnych rzeczy, aby stać się „cywilizowanym“ nie mówiąc już o tem, że każde rzemiosło wymaga obmyślanego przygotowania i umysłowego natężenia.

A znużenie oznacza przeciążenie, które, stając się ciągłem, zmienia się w neurastenję. Ostatnia zaś uważana jest za materję dziedzicznego zwyrodnienia. Fleury jednak nie rozpacza nad losami dzisiejszego społeczeństwa i proponuje środki w celu zwalczania tej modnej choroby.

Najprostszym z tych środków jest staromodne lekarstwo: regularność i wypoczynek, jednostajne życie i uregulowana czynność, odosobnienie się od wzburzeń świata i swarów rodzinnych „w dali od walki o byt i szpilek życia prywatnego“.

Wielu, z ciałem obezwładnionem, z duszą bez woli, poddającym się melancholji, słabym i rozdraźnionym, w istocie energję powrócić może odosobnione leczenie się hydroterapją, monotonnym, roślinnym sposobem życia, rozdzieleniem go na tusz i jedzenie, spacer i stosowanie elektryczności statycznej. Fleury twierdzi, że to także klasztor, aczkolwiek świecki: surowa reguła, regularność i monotonność, usunięcie wszelkiego źródła wzburzeń nerwowych i tych zetknięć się z ludźmi, wobec których nasz system nerwowy wypowiada posłuszeństwo, bezczynność, uczucie nieistnienia odpowiedzialności za wszelkie starania się o rodzinę i naród — słowem, wypoczynek zupełny, prawie absolutny — dziwnie sprzyja stopniowemu, ale nieustannemu powrotowi energji woli.

I Fleury sądzi, że nasi potomkowi będą musieli powrócić do takiego klasztornego życia. Boć przecież właśnie słabym, niezdolnym do walki, znużonym i pokonanym przez życie musiała przyjść do głowy pierwsza myśl o klasztorze. Jakiś instynkt uprzedził ich, że odzyskają znowu swoją energję w ciszy odosobnienia w surowości norm, nie dających się zmienić. Możliwem jest, iż coś podobnego stanie się nieuniknionem i dla potomków współczesnych neurasteników.

Z początku te klasztory „świeckie“ służyć im będą jako schroniska czasowe, w których będą mogli wskrzeszać swe siły, uspakajać nerwy, hartować wolę do walki z życiem. Następnie, gdy już nie będą posiadali energji,

nieodzownej ku temu, aby każdy z nich oddzielnie wypełniał swój obowiązek i czynił dobrze, odczują potrzebę połączenia się wzajem i ślepego poddania się surowej regule trwałych stowarzyszeń.

Jak widzimy, wypływa stąd arcyciekawa rzecz: nauka, emancypująca ludzi, ma ich doprowadzić do przestarzałej praktyki i wskrzesić średniowieczne sposoby życia; będzie tam, co prawda, trochę więcej równości, ale nie więcej swobody, jak naprzykład było w wieku XIV.

Zresztą — nawet zdaniem Fleuryego — jest to zbyt skrajny środek. W rzeczywistości taki wypoczynek więcej szkodzi, niż pomaga. Można go zalecać tylko tym, którzy już stracili wszelką siłę nerwową. W istocie zaś odpoczynek powinien się ograniczać do *minimum*, raz na zawsze ustanowionego, pod groźbą raczej zmniejszenia w przeciwnym razie, niż zwiększenia zdolności do pracy. Zdaniem Fleuryego, mózg, choć cokolwiek tylko utalentowany, nie powinien być niewolnikiem swego znużenia. Przeciwnie, powinien on o ile możności w najwyższym stopniu uwalniać się z pod wpływu tego znużenia, rzeć można, za pomocą trenowania swej działalności.

W ogóle, bez pracy nie można wyobrazić sobie dobrej hygjeny. Lenistwo jest nietylko źródłem wszelkich wad i błędów, ale tworzy także niemało zaburzeń nerwowych. Rzecz w tem, że w liczbie przeciążonych i znużonych, wielu pracuje bardzo mało, a są i tacy, którzy pracują bardzo licho. U ludzi zaś, u których myśl jest bardzo twórczą i płodną — znużenie jest zjawiskiem bardzo rzadkiem, przypadkowem i przemijającem.

Znużenie, naprzykład, bardzo często spotkać można niemal w stanie chronicznym, u ludzi pokonanych przez życie, u ludzi bezczynnych, których mózg myśli, ale nie tworzy nic — albo też u rzeczywiście utalentowanych, którzy pracują tylko wtedy, gdy spłynie na nich natchnienie. Wtedy w wysokim stopniu wytężają swe siły i następnie na długo oddają się wypoczynkowi. Większe dozy pracy byłyby dla nich mniej nużącemi, niż małe, a wypoczynek, który nieraz bywa zadziwiającem lekarstwem, może w danym wypadku stać się nieodpowiednim dla dobrej hygjeny.

II.

Hygjena literacka.

Fleury przytacza cały szereg zajmujących przykładów. Dowiadujemy się tutaj, jak pracowali Aleksander Dumas, ojciec i syn, Balzac, Wiktor Hugo, Georges Sand, Michelet, Thiers. Dumas - ojciec leczył się nawet pracą. Cierpiał on na chorobę kiszek i po nocach budził się wskutek silnych bolów. Czując, że już nie zaśnie, zaczynał czytać.; gdy bole stawały się silniejsze, przechadzał się po pokoju, a gdy były już nie do zniesienia, siadał do biurka i pracował. Praca była dla niego ucieczką od wszelkich nieprzyjemności i smutków.

Wiktor Hugo pracował w określonych godzinach, od chwili przebudzenia się do śniadania. Przez całe swoje życie wstawał o siódmej rano, oblewał głowę zimną wodą i zaczynał pisać stojąco, szybko, bez poprawek, wierszami albo prozą, a treść obmyślona była już naprzód, podczas spaceru po śniadaniu dnia poprzedniego. Literalnie natchnienie swoje podporządkowywał przyzwyczajeniu.

Wszyscy wielcy twórcy wyłamywali się ze znużenia za pomocą hygjeny instynktowej, a mianowicie za pomocą metodyczności w pracy.

Słabe zdrowie Micheleta podtrzymywane było tylko pracą. Nie znał on żadnych rozrywek, prawie nikogo nie przyjmował u siebie i sam nie odwiedzał nikogo. Gdy ukończył jakąś pracę, to nim zabrał się do drugiej, przeglądał już gotowe utwory. Ale też gdy ukończył coś, odczuwał wskutek nieprzerwanej pracy znużenie, jakie owłada każdym po długich wysiłkach nad pracą.

Przykład tych wszystkich znakomitych ludzi, dla których praca była tak samo konieczną, jak funkcje oddychania lub odżywiania się, stwierdza to zdanie, iż maszynę ludzką podtrzymuje czynność, praca — a nie wypoczynek. Wiadomą jest rzeczą, że wielkie umysły mogły tworzyć ogromne mnóstwo prac, i prawie bez przerwy, w przeciągu wielu lat. I zdaje się, że zdrowie tych ludzi nic na tem nie traciło. Dumas - ojciec umarł w 67 roku życia, Milechet w 74, Thiers w 80, Wiktor Hugo w 82, Dumas-syn w 71. Tylko Balzac dożył 51 roku życia, ale on, który najwięcej występował w obronie hygjeny literackiej, sam nie postępował ściśle według głoszonych przez się prawideł. Nie zachowywał ich pod naciskiem stosunków finansowych i wiecznego nieudawania się swych przedsięwzięć. Nieraz zdarzało mu się, iż przez dwa, trzy miesiące pisał po szesnaście godzin na dobę. Takiej twórczej działalności nie wytrzyma nawet atletyczny organizm.

Wszystkie te znakomitości odznaczały się umiarkowanym sposobem życia i czuły się tylko wtedy dobrze, gdy pracowały bardzo wiele. Uczucie znużenia występowało u nich na jaw dopiero przy rozpoczynaniu wypoczynku. Nie wiele im jednak potrzeba było tego wypoczynku, aby wskrzesić energję na nowo. Wszyscy rzadko kiedy przerywali pracę. *Nulla dies sine linea*, jak głosi napis na kominku w gabinecie Emila Zoli w Meudon. Taką też była dewiza Wiktora Hugo, który przez całe swoje życie na miesiąc czy na dwa oderwał się od pracy wskutek zapalenia mózgu.

Z tego, co wyżej powiedziano wypływa morał: w celu wykonania obszernej pracy konieczne są dwa warunki. Potrzeba, aby praca wykonywana była codziennie, bez przerwy i co dnia o jednej i tej samej godzinie. Inaczej nastąpi znużenie. Jeżeli ktoś pracuje regularnie i bez przerwy, musi zniewalać swój mózg do uważania na pracę, naginać umysł według komendy, nad daną sprawą, a to i dla najwięcej utalentowanych stanowi ogromne zmęczenie.

Dobre przyzwyczajenia tak samo się zaszczepia jak i złe — trudno od nich odwyknąć. A skoro raz je się przyswoiło, to już niema potrzeby wytężania woli. Pracuje się samo przez się, bez wysiłku i jakby z potrzeby wewnętrznej tak, że w końcu nie można się obejść bez tego chleba powszedniego.

(Dokończenie nastąpi.)

JÓZEFAT NOWIŃSKI.

WALCZAKI

(Nowela).

Dokończenie.

Nawet ksiądz przed chwilą powiedział mu, że to sam Bóg w nagrodę za wszystkie przebyte próby zesłał tę ostatnią, dzięki której teraz i dla świata całego i dla ojca jego stanie się oczywistą jego miłość synowska, jego poświęcenie się bezinteresowne. Pomimo wielkich jego grzechów zlitował się nad nim Ojciec Niebieski i dał ziemskiemu ojcu dowód wyraźnej pokory i oddania się syna.

I radość Antka była wdzięcznością dla tej Opieki Niebieskiej, która i o nim, robaku mizernym, nie zapomniała.

Przez całą summę modlił się Antek gorąco, tłukąc się pięścią, jak młotem, w piersi, a Przenajświętszy Sakrament przyjął z nieznanym dotychczas zachwytem: teraz dopiero, zdawało mu się, uczuł, jak się należy, że Bóg naprawdę w niego wstąpił.

I Antek odszukał w swojej książce do nabożeństwa modlitwy do anioła stróża.

Kiedy tłum, tłocząc się okropnie, runął nareszcie ku wyjściu, poszedł też Antek, ale bez pośpiechu, chociaż nie wątpił bynajmniej, że idzie ku zgodzie i szczęściu. Przy samych drzwiach głównych, na schodach kamiennych prowadzących w dół ze wzniesionego na wzgórzu kościoła na dziedziniec klasztorny, spotkał się z Jaworskimi. Cała krew zbiegła mu do serca.

— To znak Boży — pomyślał.

Nie stropiło go, że sołtys z żoną odwrócili się od niego, a Franka, zwiesiwszy głowę, zapatrzyła się uparcie na plecy tego, co szedł przed nią.

— Nie wiedzą jeszcze, a może nie dojrzeli... — tłumaczył sobie, chociaż zarówno trudno było nie dostrzedz jego głowy, po same barki nad tłum wystającej, jak i nie wiedzieć wówczas w Czerwieńsku o przygodzie Walczaków.

Pomimo jednak niezachwianą wiarę w Jaworskich, zadrżał z radości na widok, jak przy pierwszym zaraz skręcie pomiędzy starych a Frankę gwałtem wcisnęła się jakaś baba, za którą poszły dwie dziewki, trzymające się za ręce: po chwili z dziesiątek głów dzielił Frankę od rodziców. Na dobitkę traf popchnął jeszcze tę połowę prądu, w której zostali sołtysowie, daleko prędzej; znikli już z oczu, kiedy dziewczyna była dopiero przy drugim skręcie. Nie bacząc na krzyki i przekleństwa, Antek zaczął się do niej przeciskać.

— Jak się masz, Franka! — odezwał się, stając za nią i usiłując obronić ją od ścisku.

— Jak się masz, Antek — bardzo cicho, smutno i z jakiemś pomieszaniem odrzekła ona.

Zrobiło mu się jej strasznie żal, chciał więc ją pocieszyć;

— Nie martw się, Franka, wszyćko będzie dobrze.

— Zgodzili się ociec twój wele tego gruntu? — zapytała z żywością.

— Wszyćko będzie dobrze — niepewnym trochę głosem powtórzył Antek — nie turbuj się, pobierzema się, jak Boga kocham.

Do końca schodów kilka kroków zostawało.

— Za małą godzinkę jedziem — śpiesząc, zaczęła Franka — matula ino chcą coś tam kupić wele tych zrękowin.., Nie barłóż! Bo to Wicek przysłał już sześć antałków piwa, i wiadro gorzałki, i dziesięć butelek wina po 60 kop. i 65 kop., a jedną nawet za 1 rs. 50 kop... Niby na te... A wtedy już po wszyćkiem. Możeby jeszcze twój ociec odkupili to-to? Abo ja wiem? Bo to i goście już... Wtedy już na nic. Ja ta i tak nie wiem...

Tu tłoczący się zgóry wyrzucili ich poprostu, jak z procy, na dziedziniec.

Antkowi pociemniało w oczach. Rzucił się pędem, jak szalony, roztrącając, z nóg zbijając ludzi.

— Za małą godzinkę wyjeżdżają, i wtedy będzie po wszyćkiem!..

W gruncie rzeczy nie uważał on za możliwą, nie wyobrażał sobie odmowy ojca, nie wątpił, że wszystko się ułoży, pomimo to jednak w miarę zbliżania się do celu duszę jego opanowywał coraz bardziej jakiś lęk niewypowiedziany.

— I trzebaż było temu głupiemu Wickowi takiego jaśniepana udawać!.. Płać tera za to wszyćko!

Był już przy zajeździe, kiedy wołania i znaki dwóch znajomych wskazały mu, że ojciec w sąsiedniej gospodzie. Antek rzucił się we drzwi z taką gwałtownością, że idącemu przed nim włościaninowi wytrącił z ręki kupioną widać przy odpuście sztabę żelazną.

— A bodaj cię — miał już zakląć włościanin, ale urwał, poznawszy winnego, który, przepraszając, szybko się pochylił i podniósł sztabę, a stawiając ją w kącie, powiódł wzrokiem po izbie, napełniającej się powoli tymi zapewne, którzy musieli w braku miejsca w kościele pod gołem niebem czas mszy przestać.

O jakie cztery kroki od wejścia dostrzegł Antek ojca przy dużym stole w kółku znajomych, pomiędzy którymi nie brakło i siwego Powały. Mocno zaczerwienione policzki i nos świadczyły, że niedopity stojący przed Walczakiem kufel piwa był jednym z bardzo wielu, nie mówiąc już o licznych kieliszkach wódki na lekarstwo.

Zaledwie wzrok Antka spotkał się z tak dobrze mu znanem ołowianem, osowiałem spojrzeniem ojca — znikł mu z duszy wraz z pamięcią na pełne nadziei słowa spowiednika i cały spokój, płynący mu z poczucia czystości duchowej, obecności w nim Boga. Serce ścisnęło mu się boleśnie. Zmięszany, po chwili wahania się zbliżył się do ojca i złapał za rękę, która w tem właśnie mgnieniu oka sięgała po kufel. Na widok rozlanego na świeżo wysuszoną kapotę ojcowską piwa takie przerażenie ogarnęło Antka, że dał sobie wyrwać schwyconą rękę, nie ucałowawszy jej nawet.

— Ach ty, bydlaku zatracony, wątrobo... — bełkotał stary, otrząsając płyn.

„Za małą godzinkę" mignęło w myśli Antka i, jąkając się, głosem przerywanym zaczął mówić z wyrazem męki na twarzy.

— Franka... chcę mówić Jaworscy za małą godzinkę jadą... chcę mówić — dziś zrękowiny... z Wickiem zrękowiny... Możnaby jeszcze odkupić piwo, tylko wele tego gruntu

za lasem... Jeżeli ociec... Całe życie, dalibóg, wszyćko, co tatulo każą, zawdy...

I, porwawszy znowu rękę ojca, tym razem pomimo wszelkiego oporu ucałował ją kilkakrotnie.

— Odczepże się, świniaku piany, pedam ci — bronił się stary — idź do wszyćkich djabłów.

— „Franka" — „za godzinkę" — „piwo" — „grunt" — uwolniwszy się nareszcie, bełkotał znów z wysiłkiem, gestykulując znacząco palcem koło czoła i niby zwracając się do słuchaczy, niby nie.

— Niech mnie nie wiem co, dalibóg... Ot przy ludziach powiadam: ten grunt, choć go ociec na mnie przepiszą, zawdy tatulów będzie... Co rok płacić z niego będę, co tatulo zechcą, i resztę pola, jak zawdy... Ino niech mnie tatulo poratują!

— Patrzajta no, dobrzy ludzie — zawołał Walczak, z udanem zdumieniem wskazując otaczającym stojącego przed nim syna — czego ta cholera chce odemnie? A nie pudziesz ty spać, jucho? — wrzasnął, zwracając się znowu do Antka i opierając się obiema rękami o stół, jakgdyby chciał wstać.

Zaszumiało Antkowi w uszach, niby woda wśród konarów drzewa, zakręciło mu się wszystko w oczach, jakgdyby podłoga szynku mknęła za prądem wiślanym. Wpatrywał się błędnemi oczyma w nabrzmiałą wstrętnie twarz ojca.

— No, dyć wele tego — zaczął Powała wśród ciszy, przerywanej tylko krokami nowych gości — wele Franki Jaworskiej. To i cóż? Nic złego przecie? Chłopakowi już i pora i tego...

— Co sprawiedliwie, to sprawiedliwie rzekają Powała... A juści! — odezwało się kilka innych głosów. — Ożynilibyśta kumie, chłopaka i ju — ciągnął jeden. — Dziewczyna, jak się patrzy, z dobrego gniazda, i posag niezgorszy idzie... A chłopakowi przecieć pora... Co wam ta działka? A on się klnie...

— Jeżeli mi zara nie pudziesz do cholery, chorobo ty, psie mięso, to ci tu wnetki pogruchoczę kości — wrzasnął, trzeźwiejąc trochę na chwilę ze złości Walczak i, podniósł się choć nie bez trudu, jakgdyby chciał iść na syna, który też cofnął się przed nim do proga.

— Temu durniowi — wrzeszczał tymczasem Walczak — co go ja, stary, na pasku wodzić muszę, żuna potrzebna? Grunt mu potrzebny, żeby razem z tą wydrą pracę moją przemarnował? A potem ojcu na kark razem ze szczeniętami? A jucho ty wątrobiana! I ludzi się psia krew nie wstyda!... Mało, żeś mię co ino chciał utopić...

Dziki ryk wyrwał się z piersi Antka, i obecni nie mieli czasu się opamiętać, kiedy porwał z kąta ową sztabę i poskoczywszy, zamierzył się nią na ojca z szalonym rozmachem. Stary, cisnąwszy kij, którym chciał bić syna, zdążył zaledwo przycupnąć pod stół, jak już żelazo spadło z ogłuszającym brzękiem i trzaskiem, łamiąc grubą na dwa palce deskę.

Świadkowie tej sceny jedni rzucili się na Antka, który z zębami wyszczerzonymi, z oczyma wyskakującemi z orbit, rwał się naprzód; inni poskoczyli podnosić i podtrzymywać starego Walczaka, na którego twarzy bezmyślnej o policzkach obwisłych, gruby cień strachu zdawał się przykrywać wyraz nienawiści bez granic. Wisiał on bezwładnie na ramionach, które go podtrzymywały, jakgdyby znów z wody wyciągnięty. Wśród ogłuszającego hałasu tysiąca krzyżujących się nawoływań, rad, rozkazów, pytań i wykrzykników, w tej nabitej teraz izbie, w której okna nawet wciskały się z ulicy dziesiątki głów — ojciec i syn, milcząc, nieruchomo stali tak przez chwilę naprzeciw siebie, nie spuszczając oczu jeden z drugiego.

— Niech cię czort bije — sycząco jakoś i chrapliwie przecedziło się wreszcie przez zaciśnięte zęby Antka — byle nie mojemi ręcami!... A mnie ju nie obacys...

— Puść! — zakończył nagle, jakgdyby teraz tylko dostrzegł, że go trzymają, i ze słowem tem szarpnął się tak, że wszyscy odlecieli, i rzucił się ku wyjściu. Tłoczący się ciekawi, potykając i potrącając się, zaczęli uciekać z drogi, jak kury przed psem...

Błękitów strop...

Błękitów słodkich jasny strop
Ukojeń nakrył ciszą
Spowity w mrokach zmierzchu glob,
Gdzie żądze dzikie dyszą —
I moją duszę pełną łkania,
Którą szpon bólów wciąż rozrania.

Tam w górze cichy anioł gwiazd
Upojeń sieje czary...
Tu w dole zwierz wychodzi z gniazd
I czyha na ofiary:
I w dzikiej walce, możni żerce
Na karmię szarpią słabszych serce.

Szakale wściekli piekłem żądz!
Wy również w strop patrzycie,
Lecz razem kąs z swych ofiar żrąc...
Nie huczy grom w błękicie,
Więc każdy z was krew łupu toczy,
W strop wznosząc zimne, szklane oczy.

Józef Gertowski.

Indjanin o losie swojej rasy.

Szymon Pakagon, jeden z tych Indjan, którzy ukończyli szkoły misjonarskie a przejąwszy się zasadami chrześcjaństwa i cywilizacji, nie utracili jednak poczucia związku wewnętrznego ze swoją rasą, ogłosił w czasopiśmie „*Forum*“ zajmujący artykuł o losie Indjan. Autor należy do plemienia Pottawattami ze szczepu Algoingów. Ojciec jego, Leopold Pakagon, był naczelnikiem plemienia od r. 1800 do śmierci swojej w r. 1840. We 24 lat po bitwie przy Thames w Kanadzie — ostatnim boju, stoczonym przez Algoingów z Jankesami (r. 1813) — większa część plemienia wysłana została na zachód; tylko naczelnikowi i około 500 osobom z plemienia, którzy przyjęli chrześcjaństwo, pozwolono zostać w stanie Michigan. W r. 1866 było ich 350, wszyscy jeszcze zachowali czystą krew; dziś liczba ich nie przenosi 271, i połowa jest mieszańców.

Autor artykułu, o którym mowa, ofiarował podczas „dnia chicagoskiego“ na wystawie kolumbijskiej duplikat traktatu, którym rząd Stanów Zjednoczonych nabywał od jego ojca grunta, na których obecnie stoi Chicago, po cenie około 3 centów za akr (!).

Wychowany zupełnie w duchu cywilizacji białego plemienia, przejęty zasadami „człowieczeństwa“ w lepszem znaczeniu słowa, jednocześnie szeregiem tradycji i wspomnień rodzinnych zostaje on w tak ścisłym związku z plemieniem, że jak najlepiej może przemawiać w imieniu czerwonej rasy.

Zaczyna więc od tego, że przebiega dzieje jej stosunków z białą.

W r. 1492 Kolumb spędzał pierwsze święta Bożego Narodzenia w Nowym Świecie. Nie były one wesołe: przed czterema tygodniami porzucił go Pinson, oddalając się razem ze statkiem „Pinta“ i jego załogą; główny statek drobnej flotylli, „Santa Maria“, stał na mieliźnie koło Hispanjoli; porzucony przez załogę, był w niebezpieczeństwie zatonięcia i rozbicia. Wtedy Kolumb posłał Diega de Arna i Pedra Guthene do naczelnika wyspy, prosząc go, żeby dopomógł mu uratować to, co było na okręcie. Kilkadziesiąt lekkich czółen otoczyło niebawem zagrożony okręt, a w krótkim czasie wszystko, co się na nim znajdowało, zostało starannie zniesione na brzeg. Całe postępowanie karaibów w ogóle odznaczało się taką łagodnością, prawością i dobrocią, że Kolumb w doniesieniu swojem królowi odzywa się o nich z największem uznaniem.

„Jest to lud serdeczny, niechciwy, tak posłuszny we wszystkiem, iż przysięgam Waszej Królewskiej Mości, że nie ma w świecie lepszej rasy ani piękniejszego kraju. Kochają sąsiadów swoich, jak siebie samych; mowa ich zawsze miła i uprzejma, towarzyszy jej uśmiech, a chociaż są nadzy, jednak ich obejście się jest przystojne i godne pochwały“.

Z równem uznaniem odzywa się o nich Piotr Męczennik *(Pater Martyrus)*.

„Jest to rzeczą pewną, powada on, iż ziemia jest równie wspólna wśród ludu tego, jak słońce i woda, i że wyrazy „mój i twój“ — źródło wszelkich klęsk – nieznane są im. Tak łatwo się kontentują małem, iż w tym bogatym kraju mają raczej nadmiar, niż brak, tak iż wydaje się, jakoby żyli w złotym świecie bez pracy, wśród ogrodów otwartych, nieprzedzielonych żadnemi przegródkami. Postępują sprawiedliwie względem siebie — bez ksiąg, bez praw, bez sędziów. Człowieka, który znajduje przyjemność w robieniu krzywdy innym, uważają za złego i nim gardzą. A chociaż nie lubują się w zbytkach, jednak przedsiębiorą środki dla hodowli tych korzeni, z których sporządzają sobie chleb, zadawalając się skromną djetą, przez co utrzymują zdrowie i unikają chorób“.

Taki był charakter rasy czerwonej za czasów Kolumba.

Niewiele lat upłynęło, a plemię to zostało doszczętnie wytępione: zginęło od oręża i bicza Hiszpanów, którzy w swojej wściekłej chciwości obciążyli tubylców niepomierną i niezwykłą dla nich pracą. Cała ta sympatyczna ludność wysp wyginęła na oczach Las Casasa, który daremnie usiłował ją ocalić, podając myśl zaprzężenia do pracy murzynów. Nie wszyscy jednak zginęli; znaleźli się tacy, którym udało się uciec na ląd i uprzedzić współplemiennych o wartości białych gości. To też gdy Ponce de Leon spróbował wylądować we Florydzie, zgotowano mu takie przyjęcie, że przez długi czas Hiszpanie nie odważyli się stąpić na ląd Ameryki. Sam Ponce de Leon zginął w potyczce; pomiędzy walczącymi Indjanami poznano zbiegów karaibskich.

Wśród plemion lądu istnieje tradycja o tem, że grupa wspaniale ubranych *Wo-bi-o-ne-ne-og* (białych ludzi) przyszła ze wschodu „po ścieżce wojennej“ i zawędrowała aż do ziemi Dakotów (którzy zajmowali przestrzeń do rzeki Arkansas), że byli oni mściwi i złośliwi, zabijali Indjan swojemi *O-usz-kon-tej* i *O-ni-me-ki* (grzmotem i błyskawicą), że poszukiwali złota, które było ich *Ma-ni-tu* (bogiem) a nie znalazłszy go, udali się ku *Me-czi-si-pi* (wielkiej rzece) gdzie ślad ich stracono.

Całe pobrzeże oceanu atlantyckiego aż do północnej Kanady było zaludnione przez plemię Algonkingów, których na początku XVII stulecia liczono do 250.000 (dziś około 30.000). Francuzi szerzą wśród nich chrześcjaństwo, zbliżają się z niemi, żenią się z Indjankami i wogóle postępują łagodnie, szerząc przekonanie o tem, że zostają pod opieką najpotężniejszego króla na ziemi, od którego tylko król niebieski jest potężniejszy. Z drugiej strony szerzą chrześcjaństwo Anglicy, wpajając podobneż przekonanie co do potęgi własnego króla. Indjanie, ciśnięci przez ostatnich od brzegów oceanu, zmuszeni są wkroczyć w terytorja myśliwskie Irokezów ze Stanu N. Yorku. Ciśnięci z obu stron, zmuszeni byli stawiać opór białym przybyszom, co stało się sygnałem do mordów i pożogi. Algonkingowie zmuszeni są uciekać do zachodnej Kanady i do obecnych stanów Indjana, Michigan i Wisconsin, gdzie znowu spotykają się z księżmi francuskimi, którzy przyrzekają im bezpieczeństwo. Tymczasem zaczyna się wojna między kolonjami angielskiemi a francuskiemi; wiele popełnia się nadużyć na granicach, a wszystkie przypisują Indjanom.

Podczas tej wojny zdarzył się taki wypadek: We wsi Wa-gaw-naw-kee-zee (Wegonokizi) leżącej nad jeziorem Michigan między zatoką Little Traverse Bay a cieśniną Mackinaw, Indjanie znaleźli pudełeczko dziwnego kształtu, złożone z kilku. W najgłębszem z nich nie podejrzewający nic złego Indjanie znaleźli półpłynną substancję. Wkrótce potem wybuchła wśród nich nieznana ich przodkom choroba — ospa, szerząc się z okropnemi skutkami. Każdy, kogo dotknęła, umierał. Wigwam za wigwamem pełne były niepogrzebanych trupów. Ogromna osada została wyludniona. „Nasi ojcowie myśleli, dodaje wieloznacząco autor, że zarazek podrzucony

był przez Anglików, ponieważ Indjanie pomagali Francuzom podczas wojny".

Prawie w ślad za wojną francuską wybuchła wojna rewolucyjna. „Naród nasz dopiero co zaczął się uczyć, iż winien posłuszeństwo królowi brytańskiemu, który zwyciężył niepokonanego króla Francji. Dopiero co widział, jak usunięto flagę Burbonów, z zachodnich warowni i zastąpiono ją czerwonym krzyżem św. Jerzego, dopiero co zmuszono go krzyczeć: „Niech żyje król Jerzy, który panuje od oceanu Lodowatego do zatoki Meksykańskiej!".

Zaledwie Algonkingowie zaczęli sprzedawać skóry swoim nowym panom, dostając wzamian kołdry i Awsh-kon-tay— Nebesh (czytaj: Oszkontej-nebesz — ognistą wodę), gdy powołano ich znowu na „ścieżkę wojny" przez rząd przeciwko powstańcom. I znowu wszystkie okrucieństwa, uplanowane, a często i wykonane przez białych, spadały na Indjach.

„Zawsze, myśląc o narodzie swoim w owym czasie, powiada Pakagon, przypominam sobie owego psa, którego ćwiczy nauczyciel, ilekroć kto z dzieci zawini".

W r. 1812 Anglicy znowu namawiają ich do wojny. Jenerał Proctor obiecał bohaterskiemu dowódcy Tekumsch, że jeśli przyłączy się do wojska angielskiego przeciw amerykanom, to wypędzą ich za rzekę Ohio i Michigan, a cały Zachód będzie wolny. Obietnica ta wywołała zapał i nadzieję odzyskania wolności wśród plemion indyjskich; Ottawa i Chippewaye z północy, Pottawattami i Miami z południa, również jak inne plemiona, połączyły się w ostatniej, rozpaczliwej walce o ziemię swoję. „W tej walce, powiada autor, sprawa nasza była o wiele świętsza dla nas, niż dla Amerykanów ich sprawa; oni porwali za miecz dla obrony jednego z praw swoich, my — za wszystkie nasze, za samo istnienie nasze, za nasz kraj rodzinny i za groby naszych przodków, najświętsze w naszej rasie". Ostatnia bitwa, stoczona przez połączone plemiona Algonkingów, odbyła się 4. października 1813 r.; w niej padł odważny dowódca Tekumsch, zabity strzałem karabinowym; upadając, kazał dać sobie dwa nabite pistolety i kazał wojownikom oddalić się.

Nie zostawało nic, jak uledz wytępieniu lub przyjąć warunki pokoju. Tomahawk wojenny został pogrzebany na wieki, i Algonkingowie wypalili fajkę pokoju. Nędza prześladowała Indjan, wygnanych w pustynie jałowe, i zmuszała nieraz do kradzieży bydła. Półdzicy pastuchowie (t. zw. Cow-boys) zabijali nieszczęśliwych, a gdy reszta plemienia porywała się do broni, rozsądny wódz wstrzymywał ich, mówiąc: „powinniście nauczyć dzieci swoje, że ścieżka wojny prowadzi tylko do śmierci".

„Gdy po raz pierwszy biali przybili do naszych brzegów, byliśmy łagodni i pełni ufności, stojąc wobec nich, jak bryła marmuru przed rzeźbiarzem, aby być przez nich ukształceni do szlachetnego człowieczeństwa. Zamiast tego byliśmy najczęściej rąbani na kawałki i zabijani. Potęgi starego świata, walczące o panowanie w nowym, posługiwały się naszem dowierzającem usposobieniem, wkładając nam w ręce dziką broń wojny dla wzajemnego wytępienia się".

„Nie potrzebujemy zaprzeczać, iż byliśmy niekiedy pobudzeni do mściwych i okrutnych czynów. Niektórzy wojownicy z owego plemienia byli żołnierzami podczas wojny domowej. Wzięci do więzień południowców, byli świadkami takich okrucieństw, których nigdy nie prześcignęły czyny noża i tomahawka. I jestem przekonany, że gdyby ludzie Północy znaleźli się w takiem samem położeniu, popełnialiby nie mniejsze okrucieństwa. Był to rozpaczliwy wysiłek ratowania upadającej sprawy. Sądzę, że nie ma człowieka, dobrze obeznanego z historją tego kraju, którvby nie przyznał, że ilość ludzi, którzy marnie zginęli w więzieniach Południa, przewyższa dziesięciokrotnie liczbę zabitych przez nasz naród od czasów odkrycia Ameryki. Przypominam te fakta nie w celu potępienia, lecz aby wykazać, że okrucieństwo i mściwość jest produktem wojny, nie zaś rasy, i że natura nie położyła nieprzebytych granic pomiędzy nami a cywilizacją".

Niegdyś Stany Zjednoczone wydawały miljony na wojnę z Indjanami; dziś daleko skromniejsze sumy, użyte na oświatę ich, przy ofiarności i poświęceniu jednostek, przynoszą nierównie lepsze skutki.

Podczas wystawy hygienicznej autor spotkał się z delegacjami wielu szkół indyjskich; szkoła w Albuquerque (Nowy Meksyk), w której skład wchodzą plemiona Wavajos, Pinas-Mojaves, Pueblo i inne, szczególnie ucieszyła go. „Z dumą oglądałem pisane przez uczniów wypracowania, ich czyste, dobrze prowadzone kajety; słuchałem ich czystej wokalnej i instrumentalnej muzyki. Mówiłem do siebie: „Dzięki Wielkiemu Duchowi ufam, iż pozostałość mojej rasy żyć będzie i nauczy się współzawodniczyć z panującą rasą, że okaże się godną najwyższych stanowisk wśród wolnego ludu".

Również wielkie zasługi przypisuje on szkole w Carlisle (Pensylwanja), która wychowywa dzieci, zebrane wśród 60 rozmaitych plemion, rozrzuconych po Stanach Zjednoczonych.

Przyklaskując gorąco tej nowej polityce rządu, narzeka wszakże, iż w obecnych warunkach najgorsze tylko żywioły wśród białych mają bliższy przystęp do czerwonych. Żywioły te rozwijają właściwą cywilizacji chciwość i obojętność na klęski współbraci w plemieniu, którego członkowie zawsze gotowi byli dzielić się ostatnim kawałkiem strawy. I napoje alkoholiczne sprawiają wśród nich okropne spustoszenia moralne.

A nadewszystko, niewesołe są widoki przyszłości dla rasy czerwonej; musi ona zniknąć przez zmięszanie się z białą. „Czuli ludzie wśród białych mogą pocieszyć się faktem, że obecnie w Stanach Zjednoczonych znajdują się tysiące ludzi, zajmujących wysokie stanowisko, których przodkowie z jednej strony byli czystej krwi t. zw. dzikimi*). A jednak społeczeństwo, w którem żyją, a w wielu wypadkach i oni sami nie wiedzą o tem. Nie wszyscy biali wstydzą się krwi indyjskiej; ale bardzo mało jest takich, którzy są z niej dumni".

Dziś mieszańce tacy stanowią poprawę względem rasy białej, ale stanowczą krzywdę dla czerwonej, gdyż w zetknięcie z Indjanami wchodzą najgorsze żywioły wśród białych.

W. M. Kozłowski.

*) Do takich należy np. I. R. Roanoke, pochodzący w linji żeńskiej od Indjan i mający w rysach cechy rasowe. Był on senatorem stanowym i narodowym oraz ambasadorem w Rosji.

ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

Pani Knoff, której sąsiadem był jakiś urzędnik kolejowy, siedziała tak, że nie mogła widzieć swego męża, wachmistrza; żeby go zobaczyć, musiała się odwracać. Było to jednak bardzo niewygodnie dla niej i dla jej sąsiada. Była to bowiem otyła jejmość z żółtawą grubą skórą, o niezdrowym wyglądzie, co redaktora Mortensena spowodowało do złośliwej uwagi:

— Pani Knoff wygląda tak, jakby miała zapalenie wątroby.

Gdy jednak po pierwszem daniu panowała głęboka cisza, szepnął Mortensen za plecami Krystyny do Andersa:

— Musisz pan teraz wznieść pierwsze zdrowie, Mo!

— Myślałem, że to nie uchodzi przed pieczenią...

— Ależ nie, przeciwnie! Jestto nadzwyczaj modnem, aby przemówienia rozpoczynały się już przy zupie.

Redaktor stuknął głośno w kieliszek, a pan młody powstał.

— Moje panie i moi panowie! W tej pełnej znaczenia godzinie jest mojem głęboko odczutem pragnieniem wypowiedzieć, jak mocno żałuję tutaj przy tym stole, przy którym widzę tyle mi drogich osób, że nie widzę tego, którego bym szczególniej, dzisiaj najwięcej, pragnął widzieć koło siebie. Mam tu na myśli ojca mojej żony, właściciela dworku Nielsa Vatnemo.

Krystyna wyciągnęła z kieszeni chustkę.

— Wiesz sama, kochana Krystyno, jak szczerze jestem przywiązany do mego jedynego brata i jak wysoko cenię ten klejnot, który mi powierzył.

Tutej dostała pani Gluncke wcale niestosownego napadu kaszlu. Mówca rzucił na nią szybko okiem i ciągnął dalej:

— Dlatego moje panie i moi panowie wzniesiemy toast na cześć ojca mojej żony, chociaż jest daleko, życząc mu, aby go Bóg pocieszył i nie pozwalał mu zbytnio tęsknić za swoją córką. Krystyno, zdrowie twego ojca!

Gdy pan młody usiadł, szepnął kilka słów do pani Gluncke.

— Nie mogłam sobie, Bóg widzi, inaczej poradzić — odparła szeptem — byłeś też nieopłacony!

W chwilę potem powstał kominiarz Lunde. Był to wysoki, chudy mężczyzna z spiczastym nosem i siwymi włosami. Rzemiosło swoje kazał już oddawna wykonywać przez płaconych ludzi, a swe urzędowe stanowisko majstra kominiarskiego zatrzymał w lepszych dzielnicach miasta. Miał majątek, a jedna z jego córek wyszła za mąż za telegrafistę.

— Jako najstarszemu z tego towarzystwa — zaczął — niech ni będzie wolno wychylić toast na cześć pary młodej. Wszyscy wiemy jeszcze z czasów szkolnych, że Pan powiedział sam: Nie jest dobrze, gdy człowiek jest sam...

Cisza przy stole była przygniatającą. Dziewczęta, które właśnie chciały zmienić talerze, musiały stanąć i czekać, podczas gdy mówca objaśniał historję małżeństwa od Adama i Ewy, Abrahama i Sary, aż do Izaaka i Rebeki. Potem przeskoczył szybko przez Jakóba z jego dwiema żonami, nie dotknął się ani Dawida ani Salomona, lecz przeszedł lekko do czasów współczesnych i życia powszedniego i skończył na tem, że błagał nieba o błogosławieństwo dla młodej pary.

Większa część pań płakała, szczególniej Krystyna. Panna Ewelina pochyliła się naprzód i kiwała ku niej przyjaźnie głową. Uroczyste słowa biblijne, wspaniała uczta sama, wszystko porywało ją tak dziwnie, że przez chwilę nawet wierzyła, iż może to jeszcze będzie dla niej szczęście.

Panna Ewelina jednak szepnęła do Mortensena:

— Jestto jednak nędzny grzech, popełniony na tej dziewczynie.

Po przemówieniu majstra kominiarskiego Lundego nastąpiła długa pauza, podczas której dziewczęta zmieniały talerze.

Pani Knoff, która przez cały czas twierdziła, iż mąż jej „pokryjomu ściska tę wstrętną Mallę Bimbam“, miała to nieszczęście, iż zrzuciła talerz, gdy niespodzianem odwróceniem się chciała złapać wachmistrza na gorącym uczynku.

Wskutek hałasu stąd powstałego przeraził się Knudsen i skoczył tak, że aż sierżant policji Andersen musiał go upomnieć wymownem:

— Knudsen!

Pani Gluncke natomiast zaśmiała się głośno i trąciła swego sąsiada. Ten śmiech był pierwszem tchnieniem wesołości, która też zapanowała przy całym stole. Mortensen puścił w ruch karafki z winami deserowemi; pito gorliwie.

Następnie podniósł się redaktor i rzekł:

— Panie i panowie! Skoro powiodę wzrokiem po tem szanownem zgromadzeniu, powstaje w mej głowie mimowoli myśl: co tworzy, że się tak wyrażę, kit, który nas wszystkich razem trzyma?

Mówił tonem podniosłym, powoli, w pięknie ukształtowanych zdaniach dziennikowych a ponieważ czuł się panem sytuacji, przeto ciskał mnóstwem słów obcych i zdań łacińskich, rozwijając temat, iż wszyscy obecni są częściami wielkiej maszyny państwowej, urzędnicy publiczni zaś, to ogniwa w łańcuchu mężów, „na których naród patrzy z zaufaniem i szacunkiem“. Stąd mowa jego poszła wyżej, gdyż omawiał znaczenie pracy urzędniczej dla kraju, a idąc coraz wyżej i wyżej, doszedł nareszcie do „szczytu systemu“ i zakończył uroczystem:

— Panowie i panie! Jego Królewska Mość niech żyje!

Toast len wypito z zapałem.

Panna Ewelina spojrzała z pod oka na redaktora, nie mogła jednak wyrozumieć, czy rzeczywiście myślał tak uroczyście czy też z tej całej pompy drwił sobie w najlepsze.

Teraz wystąpił woźny sądu apelacyjnego z mową na cześć ministra Bennechena, na którą pan młody odpowiedział toastem na cześć ojczyzny.

Urzędnik kolejowy pił na cześć bratniego narodu, a dozorca portowy na cześć pań.

Nagle jednak zawołał wachmistrz tonem komendy:

— Baczność! Żaden człowiek nie przemawia w szeregu — dopóki pieczeń nie zjedzona. Formalnie nie ma możności zjedzenia porządnego kawałka mięsa wskutek tej ciągłej gadaniny!

Słowa te usposobiły wszystkich jak najweselej, puszczono wodze dowcipowi i wkrótce przy stole zapanował nieustanny śmiech. Krystyna śmiała się także, choć na pół strwożona spoglądała z ukosa przez ramię swego męża ku pani Gluncke, która, oparłszy się o tył krzesła, śmiała się tak okropnie, że grube łzy spływały po jej małym tłustym nosku.

Pani Grüner, która dotychczas dotykała się tylko jedzenia, rzuciła się teraz poważnie na kawał pieczeni, widząc, iż na jej demonstracje nikt nie zważa. Mimo to była w kwaśnym humorze, a jej sąsiad nie myślał o czem innem, jak tylko o pilnowaniu Kundsena. A podczas gdy pił kieliszek za kieliszkiem, szeptał tajemniczo do pani Grüner:

— Widzi pani, ze mną nie ma niebezpieczeństwa, ale ten tam, Knudsen, jest tylko na próbę przyjęty, i widzi pani, mam na niego uważać...

— Knudsen! — wołał też z ciągle wzrastającą siłą w miarę dobiegania uczty do końca.

Przy deserze wesołość stała się już powszechną i hałas wzrastał z każdą chwilą, ponieważ żar wewnętrzny, wytworzony przez jedzenie i picie szukał sobie koniecznie ochłody.

Woźny sądowy Paulsen, znany i uznany jako dowcipniś, wystąpił na ogólne żądanie z różnemi salonowemi sztuczkami; mógł naprzykład piać jak kogut, uderzać się tak po policzku, iż zdawało się, że to wino się leje z świeżo napoczętej butelki, poruszać uszami i tak dalej.

Krystynie nie wydawało się to wszystko tak bardzo w porządku. Uczta weselna, jej zdaniem, nie powinna być tak wesołą.

Gdy gospodarz dziękował Paulsenowi nazwał go żartem: „panie starszy prokuratorze!“

Pochwycił to szybko redaktor i zawołał głośno:

— Panie jenerale Knoff, czy mogę sobie pozwolić?

Towarzystwo z początku zdumiało się, potem jednak myśl ta przyjęła się u wszystkich panów: majster kominiarski Lunde został starszym inspektorem, a pan młody ministrem.

Krystyna była bardzo zadowolona z tego, że ją zostawiono w spokoju. Natomiast nie mogła zrozumieć, dla czego towarzystwo o mało nie pękło ze śmiechu, gdy Paulsen zwrócił się do panny Nielsen:

— Pani ministrowo, czy mogę panią prosić o zaszczyt wypicia ze mną razem kieliszka wina?

— Dziękuję, panie prokuratorze! — odparła Ewelina, rumieniąc się; wkrótce jednak śmiała się znowu i szepnęła kilka słów do Mortensena. (Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości artystyczne i literackie.

Bardzo ciekawa książka ukazała się w Warszawie pt. „Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego“, pióra Józefa Weissenhofa, b. redaktora „Biblioteki Warszawskiej“. Jest to rodzaj pomnika biograficznego, postawionego przez Jacka Ligęzę zmarłemu przyjacielowi, który należał do sfer arystokratycznych i brał czynny udział w życiu politycznem. Autor nie szczędzi Podfilipskiemu częstokroć bardzo ciężkich zarzutów, mających charakter ogólniejszy typowy i zasadniczy. Podfilipski — to rodzaj Płoszowskiego, tem różniący się jednak od bohatera Sienkiewiczowskiego utworu, że o ile ten był „genjuszem bez teki“, człowiekiem biernym, o tyle Podfilipski jest mężem czynu, politykiem, reprezentującym pewną partję. Książka Weissenhofa budzi dużą sensację.

P. Marcelina Sembrich-Kochańska rozpoczęła szereg gościnnych występów na scenie Karltеatru w Wiedniu

Utalentowana „naiwna“ sceny krakowskiej p. Tekla Trapszo zaproszoną została na gościnne występy do teatru „Rozmaitości“ w Warszawie.

P. Marja Kozłowska, lwowianka, śpiewa obecnie z powodzeniem w królewskim teatrze w Neapolu.

Znany pianista p. Gustaw Radwan koncertował z dużym sukcesem w Nizzy.

Jedyny autentyczny portret Joachima Lelewela znajduje się obecnie w Paryżu. Malował go w r. 1860 w Brukselli malarz Van den Eycken dla wdowy po przyjacielu historyka ks. Korybucie-Daszkiewiczu.

„Córkę Jeftego“ sztukę Cavalottiego, który jak wiadomo zginął w pojedynku, wystawił z powodzeniem teatr warszawski.

P. Floriani-Zbierzchowska, lwowianka, śpiewa obecnie w teatrze odesskim. Miejscowa krytyka nie szczędzi artystce pochwał.

Eugenjusz Ritt, były współdyrektor opery paryskiej zmarł w Paryżu.

Prof. R. Zuber ogłosił w „Zeitschrift für praktische Geologie“ ciekawy referat pt. „Krytyczne uwagi o najnowszych hypotezach co do powstawania nafty“.

Obrazek M. Bałuckiego pt. „Dekadent“ podaje w przekładzie „Venoc“ Zagrzebski.

W „Monatschrift für Literatur und Kunst“ znajdujemy doskonały przekład noweli J. Rutkowskiego: „Pajęczyna“ pt. „Spinngewebe“, dokonany przez p. Karolinę Blumberg.

W marcowym zeszycie „Wiestnika Europy“ znajduje się nowy przekład „Sonetów krymskich“ Mickiewicza. Tłómaczenie wyszło z pod pióra ks. Kuguszewa.

„Arbeiter Ztg.“ w Wiedniu drukuje obecnie fejleton o Mickiewiczu, nieznanego dra M. Z., który usiłuje przekonać swych czytelników, że wieszcz nasz hołdował zasadom socjalizmu. Miły pan!

Helena Modrzejewska wzięła przed 10 dniami udział w koncercie, urządzonym w „Metropoliten Opera House“ w Nowym Jorku na rzecz funduszu na pomnik dla poległych Amerykanów podczas ostatniej katastrofy okrętowej na Kubie.